



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80 W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na p.p. winicy z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

Słoneczne strony życia.

Wiedzieć gdzie leżą jasne, słoneczne strony życia, to znać drogę do szczęścia i snadź tak to rozumie uczony angielski, John Lubbock, skoro napisał książkę w tym przedmiocie: „The Pleasures of Life” — rozkosze życia. Za lat młodości swojej smutnie, melancholijnie zapatrywał się on na życie i cierpiał przez to silnie, gdy przecież potem wejrzał w nie głębiej, poznał, że ma ono „przywileje i błogosławieństwa” mogące ubogacić szczęściem istnienie człowieka na ziemi, i dla tego wziął się do pióra: dlatego — jak pisze — przemawiając często do młodzieży, wykazywał zawsze, że są na świecie rozkosze i przyjemności, są „źródła szczęścia, otwarte dla nas” ale człowiek często je omija — nieuważnie, niemądrze je przecacza.

Książka zaczyna się od wiersza, który można uważać za skrytykowanie przewodniej myśli autora, że jest szczęście na świecie, ale posiadać je może ten tylko, kto wyrobi w sobie odpowiednie do tego warunki moralne — zrozumie konieczne niedostatki i obowiązki ludzkiego istnienia i nie będzie żądał od życia, aby było jednym ciągiem niezmaczonego używania. Trzeba obok tego — trzeba „przedewszystkiem i nadewszystko” abyśmy mieli sami w sobie zapas tych uczuć: tych mocy, które prawdziwym szczęściem darzą — abyśmy pyszni i samolubni nie żądali dla siebie wszystkiego, nie wzamian za to nie dając, abyśmy skarbem życia głównym uczynili sobie to, co posiadać można zarówno przy bogactwie, jak i przy ubóstwie.

Shczęście serca, ubłogosławione słodkim uczuciem miłości, zdolność niesamolubnego kochania — oto warunek szczęścia najpierwszy. Nieznany u nas poeta angielski, Trench, pisze:

Skarży się nieraz ten, kto ma nad sobą
Niebiosów jasne lazury,
Jeżeli na chwilę zmroczy je żałobą
Cień jakiejś przechodniej chmury;
Innym przepelnia serce miłość wdzięczna,
W oczach dziękczynne łzy stoja,
Jeżeli życia ich noc bezmiesięczna
Ma jedną gwiazdeczkę swoją.

Nieraz w pałacach mówią blade usta,
Że życie bez celu płynie,
Że jego czara zawodna i pusta
Na dnie gorycz ma jedynie;
A słyhać nieraz wśród ubogiej chaty
Słowa, szeptane w zachwycie:
— Jakże miłości zapas jest bogaty,
Że starczy na całe życie...

Rozdział pierwszy: *Obowiązek szczęścia* zdaje się być na pierwszy rzut myśli paradoxem; przecież autor wykazuje, że tak nie jest, że istnieje pewne prawo moralne, nakazujące nam posiadać szczęście, bo im większą jest liczba ludzi szczęśliwych, tem więcej jest szczęścia na świecie — szczęścia i dobra, gdyż jedno rodzi drugie, a tę genezę szczęścia popiera autor słowami greckiego filozofa, Epikteta: „Jeżeli człowiek jest nieszczęśliwym, musi to być jego winą, gdyż Bóstwo stworzyło tak wszystkich ludzi, aby byli szczęśliwymi”. Ludzkość zawsze też tak to pojmowała, myt zjedzonego przez Ewę owocu z zakazanego drzewa wiedzy złego i dobrego, otworzona puszka Pandory, z której nieszczęście wydostało się na świat — świadczą o tem, że od zarania myśli człowieka złe i cierpienie przedstawiało się umy-

słom jako skutek złamanego prawa moralnego i buntu przeciwko jego nakazom. Kto tylko umie sobie wiązać skutek z przyczyną, zgodzi się też z Lubbockiem na jego zobrazowanie *obowiązku szczęścia i szczęścia obowiązku*, o którym traktuje rozdział II — szczęścia, które przychodzi do nas drogą spełnionej powinności.

— Każdy przyzna, że wesoly przyjaciel jest dla nas tem, czem słoneczny, pogodny dzień, rozlewający dokoła jasność i ciepło; otóż tę samą przysługę wyświadcza nam uczucie dokonanego obowiązku — pisze Lubbock a jest-to bardzo wdzięcznie, bardzo słodko wyrażone, zwłaszcza u tak poważnego męża, to porównanie czystego sumienia z przyjacielem, który rozjaśnia, uwesela nam życie i stawia to odrazu przed wyobraźnią obraz człowieka, który mimo wszelkich ciężarów życia, jakie dźwigać może, jest zdolny uśmiechnąć się zawsze dobrym, miłym uśmiechem wewnętrznego zadowolenia a w godzinie trosk i doświadczeń zdola jeszcze mieć w samym sobie dobrego druha, który spędzi mu z czoła posępność i każe pogodnym wzrokiem patrzeć na życie. Wśród takiej życia tego perspektywy, przed myślą swoją otworzonej, mógł też Lubbock umieścić pięknie i dostojnie skreślony stan uczuć uczciwego człowieka, który nazwał szczęściem obowiązku.

Shczęście obowiązku nazywa też wyższą, szlachetniejszą, więcej mężką siłą nad melancholią, która chwyta dusze ludzkie wobec spełzłych wielkich nadziei — wobec nieszczęścia wynikającego z wielkich zawodów. Nie są to przecież istoty niskie, nie są to istoty nędzne i samolubne, które cierpią na tę chorobę, zwaną przez Niemców „Weltschmerz” — na chorobę boleści bezgranicznej, bo ogarniającej uczuciem swoim horyzonty niezmierzone, jak pragnienia ducha ludzkiego w piersi szlachetnej. W użaleniu się nad niemi autor przytacza piękny wiersz angielskiego poety, Edwina Arnold, przed-

stawiający stan takich dusz, *smutnych aż do śmierci*.

Jesteśmy jak głosy wiatru, który wieje:

Za spoczynkiem wzdycha a spocząć nie może:

Utracone wiary, przypadłe nadzieje.

Tak jęczą i lecą przez życia bezdroże. —

Ale, dodaje zaraz autor, życie nie jest od tego, aby niem żyć wesoło, ale aby żyć niem dobrze: to też waga sądu nad istnieniem człowieka przechyla się jedynie na stronę tej siły ciężkości. „Kto żyje bez planu życia przebywa świat, jak żdźbło słomy rzekę, nie żyje, ale jest unoszony przez życie — powtarza Lubbock za Seneką. Goethe w trzydziestym roku życia, obejrzawszy się za siebie i spojrzawszy przed siebie, uczuł potrzebę skoncentrowania sił, aby żyć całą jego pełnią, dobrem i pięknnością: „Im Ganzen, Guten, Schönen zu leben“.

Życie przecież mierzy się nie na lata, ale na myśli i czyny. Jest rzeczą niewątpliwą, że każda istota ludzka pragnie szczęścia i każda może też otrzymać je w swoim zakresie. Wielką tę prawdę wyraża stare przysłowie włoskie: „Niekażdy może mieszkać na piazzie, ale wszyscy mogą się ugrzać na słońcu“ — mogą sobie znaleźć taki punkcik wśród życia, gdzieby ich ogrzały ciepłe życia tego promienie. Posiadać tę sztukę, tę zdolność, która przecież jest starym przywilejem, dziedzicznym błogosławieństwem ludzkości — to osiąść szczęście.

Piękność świata, jego blaski i glorie światła — to wspólne dobro ludzkości, więc własność każdego człowieka, i do wielkich rozkoszy życia zalicza autor uczucie piękna w naturze, które darzy mniejszymi uciechami, niż sztuka, nazywana niejednokrotnie pocieszycielką człowieka. Niedostatecznie przecież są brane w rachunek uroki z tego źródła płynące; Ruskin wymawia księżom, że, nauczając miłości Boga, nie ukazują Go w najjaśniejszej Jego aureoli — w pięknościach przyrody. Taksamo jest z mnóstwem żywiołów szczęścia, przeoczonych, niepodjętych, i kiedy spojrzymy w tył na życie, spostrzegamy dopiero, ile okoliczności, mogących pomnożyć zasoby szczęścia, ubogacić życie we wrażenia miłe i podnoszące ducha, zostało nieużytkowanych.

Możnaby tu dodać, że człowiek potworzył sobie sztuczne sposoby używania, opłacane drogo a dające wzamian bardzo mało, jeżeli nie nic zgoła: przyjemności tak ujemne, jak zadowolona próżność, jak polechtana pycha: pięcie się ponad innych na szczytach zbudowanych z lichego materiału najniższych instynktów naszych. S-ty Bernard nauczał, że nic i nikt nie może nam tak szkodzić, jak my szkodzimy sobie sami — że sami szczepimy sobie zarody nieszczęść, i tylko własne nasze błędy sprowadzają na nas boleść, której bez tego nie byłoby na ziemi. Mędrzec pogański Marek Aureliusz już miał takisam pogląd na życie i napisał: — „Bogowie dali człowiekowi władzę omijania tego, co jest złem. Potęga, która nie uczyniła człowieka złym, jakżeż miałaby życie jego skazywać na złe“?...

Człowiek może się podnieść nad otaczające go okoliczności — przedzielić się od nich murem, wzniesionym przez siłę jego istoty wewnętrznej. Powiadają, że Hegel kończył swoją *Fenomenologię Ducha* w Jenie d. 14 Października 1806 r. nie nie wiedząc o bitwie, która się staczała w pobliżu.

Takie przecież odcięcie się od ludzi może być udziałem pewnych tylko osobistości i to w okolicznościach wyjątkowych. Serce stawia tu protest i odosobnienie jest cierpieniem może największem dla człowieka, którego Bóg stworzył, aby kochał. Bakon, tłumacząc cierpienie tęsknoty napisał, że „serce ludzkie nie jest wyspą odciętą od lądu. Kontynent to jest, złączony z innymi ziemiami“.

Gdy się tak odłączymy od otaczających nas bliznich, że nie istnieje już między nimi a nami żadna wspólność interesów, znika też i współczucie nasze dla ich cierpień, dla ich bólów i niedoli. Lecz wzamian nie dzielimy już z nimi ich radości, nie dostaje nam się nic z ich wesela, nie z ich szczęścia, i tracimy na tem więcej, niż zyskać

możemy. Każdy z ludzi, tak zakutych w pancerz egoizmu, niech wie, że pozbawia się najczystszych i najwyższych rozkoszy życia — takich, które nigdy nie powszednieją, nigdy obojętnymi nie stają się dla człowieka. Chcąc się tak obwarować przeciw cierpieniu, odgradzamy się i od szczęścia. Człowiek musi czuć — musi kochać i cierpieć, aby żyć tą pełnią życia, która jedynie daje szczęście.

To, co nazywamy nieszczęściem, jest nieraz szczęściem, przebraniem tylko. Doświadczenia życia związane są często z mocami, życie ubłogławiającemi; wydobywają z głębi naszej siły, nam samym nieznane. Plutarch nazywał cierpienia i rozkosze życia gwoździemi, które spajają duszę z ciałem. Bez cierpienia człowiek stał-by się miękkim i słabym; cierpienie stoi też na straży przed tem, co by było dla nas zagładą, i dlatego to najwłaściwsze dla organizmu części ciała są najtkliwszemi na ból. Natura chciała je przez to bronić przed narażaniem się na zetknięcia szkodliwe; skóra człowieka dlatego jest tak wrażliwą na zimno, na gorąco i nazwać ją można wartownikiem, który wydaje hasło trwogi za zbliżeniem się zabójczego nieprzyjaciela. Dowodzi tego fakt, że czem organizm jest słabszy, tem wrażliwość jest silniejsza, uczucie cierpienia zwiększone tak, że często ludzie zdrowi i silni nie mogą tego zrozumieć i biorą za pieszczęnie się to, co jest uczuciem rzeczywistych dolegliwości. Można by tu dodać, że przesadna troskliwość, tak w wychowaniu dzieci, jak w pielęgnowaniu samych siebie, sprowadza ten sam skutek niewytrzymałości, ale też i sprowadza to zawsze osłabienie, zwątlenie organizmu — brak odporności na wpływy zewnętrzne, przez niedostatek siły wewnętrznej.

— „Mówimy często o złem, o nieszczęściu; ale co to jest owo złe, owo nieszczęście?“ — pyta moralista angielski Helps. Jeżeli cierpienie, doświadczenia losu wychodzą nam często na dobre, hartując nas, to należałoby dodać, że wyniki rzeczy są dobre, ale trudno jest nam przystać na to, aby dobrem było to, co zadaje nam boleść. A jednak uczą one, i jakże nabyć inaczej to, co nam tym sposobem dają — co zdobywamy za ich pośrednictwem? Jakże inaczej to osiąść, chyba by czyniąc ludzi takimi, jak jest bóstwo — mądrymi bez pomocy doświadczenia? — Bakon powiedział, że będąc w dolinie, najlepiej odkrywamy wzgórze, a głęboko mądre są słowa Rousseau, że „aby odczuwać wielkie dobra, trzeba znać zła małe“, i choć zwykle nie mówimy tego, choć sobie tego nie życzymy bynajmniej, jednak w głębi duszy czujemy, iż tak jest: że boleść, że nieszczęście szczęściu wartość daje. Francuzki poeta, Aubrey de Vere wyraził to, wołając, że „cierpienie powinno w nas być, tak jak radość: majestatycznym, podnoszącem ducha, i z równowagi nas nie wytrącać, wolność duchowi temu zostawiać, mieć w sobie siłę pochłaniania trosk małych; że powinno sprowadzać wielkie myśli — myśli poważne — myśli wskazujące nam koniec rzeczy.“

Jeżeli nie możemy mieć tej nadziei, aby życie było jednym ciągiem szczęścia, możemy jednak dokazać tego, aby szala losu przeważała się na jego stronę prawą: aby nawet te życia naszego zdarzenia, które noszą postać nieszczęścia, śmiało przyjęte, mogły się stać szczęściami z datkiem. „Często — mówi Seneka — klęski losu obracają się nam na korzyść i wielkie upadki prowadzą do większych jeszcze życia rozjaśnień.“ Autor przytacza niejednego tego przykład, że to, co się zdaje nam klęską i upadkiem, jest drogą do wyniesienia się nad niski poziom powszedniego życia. Helmholtz zawdzięczał chorobie zdobycie pomocniczego środka dla swych prac naukowych. Jako student — w 1841 r., zachorował na tyfus. Oddany do szpitala, przeleżał tam wakacje, a zaoszczędzone w ten sposób pieniądze, które inaczej byłby wydał na życie, pozwoliły mu kupić mikroskop do studyów, które rozwinęły w nim i ustaliły przypuszczenia, zamieniające się w pewniki naukowe. Podobnie dla Savonaroli ciężkie próby losu były drabiną, po której stopniach wydostał się w górę życia i bez których — twierdzi autor — byłby przypuszczalnie pozostał na jego nizinach — nieznany ludziom i nieznający

sam siebie; wielkich sił, wielkich mocy ducha, mieszkającego w jego piersi. Kochał gorąco kobietę, której rodzina nie dała mu uczynić towarzyszką życia i to, jak pisze historyk jego, Castellar, było początkiem jego wielkiego końca. „Sądził wtedy, że to jest śmierć dla jego istoty moralnej, a to było właśnie życie“ — to była droga otwarta do nieśmiertelności... Czy przecież autor twierdzenia tego nie stawia go na podstawie hipotezy bardzo niepewnej i wątpliwej? Gdyby okoliczności rzadziły człowiekiem — gdyby zależność jego od nich była tak wielką, czemuż-by była nasza wolność duchowa? Osobistości niższe — słabej woli i małego ducha, ulegają im niewątpliwie, ale nigdy ludzie, w których mieszka gorąca jakaś iskra świętego ognia. Jest ludowe, czy może staroświeckie, przysłowie nasze: „Z jednego drzewa krzyż, z drugiego łopata“ i prawdą to jest, prawdziwą niewątpliwą, że są między ludźmi różnice, są stopnie podniosłości duchowej. Ci zaś, których ludzkość nazywa wielkimi — ci przedewszystkiem mają już własną swoją temperaturę ducha, i nie okoliczności niemi, ale oni okolicznościami rządzą — używają ich jako materiału na stopnie wyniesienia się swego wzwyż i to powiada Schiller przez usta jakoby Zeusa do Herkulesa mówiącego.

Nie wypileś boskości z nektarów moich zdroj,
Ale nektar ten wzięła boska moc siły twojej....

Autor sam przypomina sobie to wkrótce, gdy zastanawia się dalej nad rozmaitością losów ludzkich. Twierdzi, że są pomiędzy ludźmi natury gorsze i lepsze, tak jak są wyżej i niżej obdarowane umysłowo — że człowiek pracujący nad rozwinięciem dobrych swoich przymiotów, a zatłumieniem wad i instynktów złego, zarabia sobie na to, co się nazywa między ludźmi zasługą i co stanowi jego wartość moralną. Ze starcia dobrego ze złem rodzą się te komplikacje losów ludzkich, przedstawiających się nam w milionie odmian różnorodnych, wśród których przecież dobro wychodzi zawsze jasne, i promieniejące chwałą podniesienia się nad te nędze moralne ludzi, którzy zawarli spółkę ze złem. I to rozstrzyga również o doli i niedoli człowieka: życie uczciwie wiedzione jest nietylko życiem pożytecznym i dodającym coś do kapitału dobra na świecie, — jest zarazem życiem szczęśliwym w znaczeniu tego spokoju sumienia, który za sobą niesie i zadowolenia wewnętrznego, przez nie nie zastąpionego, gdy naodwrot życie toczące się po szlakach złego niesie za sobą rozstrój i jest zakłóceniem porządku moralnego: — „Czas tylko może uwolnić głupca od nieszczęść, gdy dla mędrca czyni to jego rozum“ — mówi Epiktet i jeżeli nie będziemy brać życia w jego znaczeniu niższem, opartem na używaniu jedynie, jeżeli weźmiemy tu całą skalę skarbów szczęścia ludzkiego, poczynając od zadowolenia wewnętrznego do dobrego imienia u ludzi, do nieschyłonego nigdy czoła i szacunku bliznich naszych, przyznamy słusność staremu moralistce greckiemu. Szczęście nasze jest w nas. „Jesteśmy nietylko panami samych siebie, ale prawie swymi stwórcami!“ — zakończy też Lubbock, a że to jest prawdą najwyższą zgodzi się każdy po chwili zastanowienia. Przynosimy ze sobą na świat pewne skłonności i uzdolnienia, są otaczające nas okoliczności mniej, lub więcej dla rozwoju naszego przychylne, ale że „różnimy się od zwierząt rozumem i wolą“ więc tworzymy moralną istotę naszą, wybierając z danych, które przedstawia nam życie, to, co chcemy wcielić w siebie, częścią naszego ja uczynić. Dajemy podniecie jednemu, zatłumiamy inne skłonności nasze i gdyby tak nie było — gdybyśmy nie byli moralnymi naszymi twórcami, nie było-by dla człowieka wolnej woli — tego najwyższego i z żadną inną istotą na ziemi nie dzielonego przywileju i dostojęstwa.

Bylibyśmy związani jedynie instynktem jak zwierzę — jak płaz, jak robak. Człowiek wszystko może, co chce w zakresie warunków życia na ziemi — wszystko może, tylko zdaje potem z tego sprawę, nietylko przed sądem Boga i ludzi. Przychodzi na każdego człowieka chwila, w której

stawa przed trybunałem sumienia własnego i słyszy pytanie:—Co uczyniłeś z życiem twojem?

To, że rozstrzygamy o losach naszych, że budujemy naszą istotę wewnętrzną i wśród otaczających nas przedmiotów tworzymy życie nasze—jest pewnikiem nietylko dla filozofa. Zdrowy rozum ludzki, połączony z niejaką obserwacją spraw tego świata, wszędzie to uznaje i oto z uczonym angielskim godzi się stara piosenka nasza:

— Co ja-bym też nie dał, za takiego człowieka,
Co by mi powiedział, jaki mnie los czeka?...
— Nie potrzeba człowieka, ażeby ci wróżył:
Taki cię los czeka, na jakiś zasłużył!..

— Na jakiś zapracował!... Na jakiś zebrał zasoby według tego, coś sobie za drogocenne, za szacowne uważał.—„Gdzie jest twoje serce, tam jest twój skarb“... i skoro też człowiek o zachodzie życia obrachunki z tem życiem czyni, musi się zdobyć nietylko na bezstronność dla innych, ale i dla siebie samego—nie może od siebie żądać, aby ze wszystkich pól i łąk ziemi zdołał sobie skarby gromadzić. Poezja Schillera: *Podział ziemi* to wyrok nad tą sprawą. Kiedy Zeus rozdawał ludziom ziemię i jej dobra, poeta nie z tego nie dostał, bo nie było go pomiędzy tymi, którzy ręce po datki różne wyciągali. Przebywał wtedy w Olimpie wśród rodziny bogów i gdy teraz wystąpił ze skargą, smutną na ogołocenie i ubóstwo swoje, Zeus, niemający już na ziemi nic, coby jeszcze do wzięcia było, dał mu tylko ten przywilej nadludzki, że mógł o każdej chwili i godzinie do furty niebieskiej zapukać i mieć ją utworzoną sobie, a jest tak podziśdziem dla ludzi pewnych. Kto sobie nieziemskie dobra garnał, kto w kraju ideałów przebywał, niech się za niedołężnego nie uważa, że majątku nie zebrał, dóbr nie naskupował, urzędów nie otrzymał—niech sobie szczęścia i pokoju duszy wyrzutami takimi nie truże, niech się za to zwłaszcza złym ojcem rodziny nie nazywa. Praca jego na innym odbywała się polu i to, co tam zarobił: co dał ludziom, krajowi, idei życia szlachetnej—to jego zarobek życiowy, który mu takim dostatkim być powinien, aby się nie czuł zubożonym bankrutem życia, aby między szczęśliwych mógł i chciał się zaliczyć.

(Dokończenie nastąpi).

ADJUTANT KRÓLA JEGOMOŚCI.

OPOWIADANIE Z DRUGIEJ POŁOWY ZESZŁEGO STULECIA

napisał

Mieczysław Krzywosąd—Kępieński.

(Dalszy ciąg).

Miłość jednak Jacka była dziwnego nabożeństwa uczuciem. W ryzach przez ojca chowany, starościc, wyrósł nieśmiałym i skromnym nad wyraz, to też, chociaż kochał pułkownikównę, kochał całym sercem i duszą młodzieńczą, ale miłość jego oile głęboka i szczera, o tyle była potulną i cicha, oile potężna, o tyle trwożna i nieśmiała, podobna do tych kwiatów, co zamykają kielichy przy blasku słońca i przy gwarze życia, a upajają wonią i wdziękiem wśród ciszy i cieniów wieczora. Ale miłość taka, właśnie dlatego, że skromna i cicha, rzadko na tej ziemi znajduje uznanie, a rzadziej jeszcze podobno wzajemność; zazwyczaj skazana, by cierpieć w cichości, boleje bez skargi i bez nadziei wszelakiej, patrząc na zwycięstwo szczęśliwych rywali. Tak było przynajmniej ze starościcem spławskim. Marysia wiedziała zapewne, że poczciwy Jacek kocha ją serdecznie: odsłaniały jej tę miłość westchnienia ciche i stłumione, spojrzenia pełne rzewnego uczucia, uściśnienia ręki pełne magnetycznej siły: to też uśmiechała się do niego wdzięcznie, jak się kwiat świeży uśmiecha

na wiosnę, była dla niego dobrą i serdeczną, mówiła z nim chętnie, czasem długo nawet; a jednakowoż, gdyby kto zapytał: czy Jacek jej drogim, koniecznym do szczęścia?—z trudnością-by jej przyszło dać na takie pytanie twierdzącą odpowiedź. Bo przy wszelkich zaletach, zdobywających skromnego młodzieńca, miał on wielką wadę: rysy jego twarzy, już z natury brzydkie, zeszpeciła oспа, która śniade oblicze w dziwny wykrzywiła grymas; zająkiwał się przytem, co go jeszcze bardziej czyniło nieśmiałym. Cała budowa, koścista i długa, nie dodawała bynajmniej Jackowi uroku, a już przy wspaniałej postaci Gordona, przy wykintnej figurze pana Dębickiego, tak biedny tracił i szpetniał, że sam to czując, krył się starościc za plecyma drugich albo uciekał do domu, przeklinając, to swoją powierzchowność nieszczęsną, to swoją nieśmiałość. Kochał bez nadziei, więc się nie spodziewał szczęśliwego końca; ale widziawszy chętnie przez całą rodzinę, jeździł do Dzikowca często, smutno mu bowiem było, gdy długo nie widział swojej ukochanej, nie przemówił do niej, nie popatrzył w jej uroczyste oczy,—szczęśliwy przynajmniej o tyle, że może spojrzeć na nią niby na święty obrazek, że ona wolną jeszcze i tak blisko niego... Niedługo jednak trwać miało względne starościca szczęście. Jakoś na parę tygodni przed opisanymi wyżej wypadkami, zajechawszy do Dzikowca, dowiedział się Malczewski od starego rezydenta Lasockiego, że major Gordon deklarował się o rękę pauny Maryanny, że został przyjęty przez państwa Góreckich, a wreszcie i przez pannę samą, chociaż się nie obezła bez łez i bez skargi z jej strony. Wysłuchawszy opowiadania rezydenta, oszalały z bólu, Jacek pobiegł na pokoje. Po kilku słowach powitania, potwierdziła pułkownikowa wiadomość o decyzji córki i wtenczas w starościcu zaszła zmiana dziwna: zbladł, niby świeżo pobielona ściana, wargi mu zaczęły jak w febrze dygotać, a zimny pot wystąpił mu kropkami na zmarszczone czoło. Na razie stracił mowę nawet; tylko oczy iskrzyły się złowrogo pod gęstymi brwiami, ciskając dokoła błyskawice gniewu. Chociaż pełen wrzącego bólu opanował się przecież, ale długo jeszcze nie mógł przyjąć do siebie, ani się zdobyć na powinshawanie zwykle w takich razach. Zwyczajnie zająkliwy, teraz zaczął się straszliwie i naprożno meł językiem w ustach,—nie mógł ni słowa wykrztusić, chociaż dławilo go w gardle: więc, nie pożegnawszy się nawet, runął z pokoju, dopadł konia i, jak szalony, popędził za bramę. Dzień był pogodny i skwarny, jak to bywa w Lipcu; od kilku dni nie spadała ani kropla deszczu na spragnione lany. Błękitne niebios zwiślały się bez chmurki nad ziemią zeschniętą, nad pożółkłą trawą i liściem drzewiny, co się pozwijał w skrety pod wpływem gorąca. W powietrzu było duszno, złotawe pyłki zasłaniały widok błękitów nieba, niby misterną oponą. Żar sypał się nielitościwy od promieni słońca, nikąd, ani od rzeki, ani od lasu, nie zrywał się wietrzyk, coby ochłodził dzień skwarny. Malczewski pędził drożyną ku lasom, koń spragniony cienia parskał raz-na-raz i wyciągał szyję, a smutny jeździec patrzył jak błędny przed siebie — heu, heu daleko aż tam, gdzie się ściana lasu zlewała z błękitami niebios, tworząc jakąś próżnię bez dna i bez końca, niby przejście przez życie w otchłań bezdenną nicości.... Jacek patrzył przed siebie i ciężkie westchnienie rozdarło mu piersi: jakżeby chętnie poszedł w tę bezdenną otchłań, zostawiając za sobą młodość i życie, w którym nie widział ani jednej bliźnięcej duszy, ani jednego druha, coby odczuł jego ból serdeczny i podał balsam pociechy na to biedne dzisiaj, tak strasznie krwawiące się serce! Każdy pierwszy zawód boli nad wyraz dotkliwie: toż i starościc bolał niewypowiedzianie; zdawało mu się, że się ziemia zapada w jakąś przepaść straszną, że już ginie wszystko, że dla niego i przyszłości niema, a życie staje się jednym pasmem nieprzerwanem cierpień, goryczy i bólu.

Wtem, gdy tak rozpaczliwie dumał, dojrzał u krańców lasu orszak zbrojnych ludzi.

Przodem jechał rycerz w lekkim pancerzu, w stalowym hełmie z czarnymi piórami, na koniu gniadym wspaniałej budowy, chociaż po zakłębłych bokach poznać było można, że od dłuższego

czasu brakło mu wygody. Za owym przywódcą widać było kilkunastu jeźdźców dobrze uzbrojonych w muszkiety i szable, w różnorakich strojach, przeważnie w podniszczonych kurtach i żupanach, w konfederatkach na podgolonych czuprynach, a tu i owdzie załśnił od słońca przez zarośle szyszak albo koszulka druciana. Jacek poskoczył rażniej na spotkanie jezdnych; w oczach mu zamigotał jaśniejszy błysk jakiś; ręka uderzyła w szablę, jakby witając w tem niespodzianem spotkaniu myśl zbawczą, przewodnią, którą mu zsyłał Opatrzność w chaosie bezładnych, rozpacznych przedsięwzięć i dumań. Orszak jezdnych przystanął—a po powitaniu dowiedział się Jacek od przodującego, że owa drużyna, to rozbitki z oddziału marszałka sieradzkiego Bierzynskiego, błakające się samopas po ostatniej klęsce i szukające jakiejś głównej komendy. Dowódca, człowiek młody, nieznający okolicy, przedstawił się starościcowi jako chorążyc Tetwin, prosząc równocześnie o informację, gdzieby się można połączyć z któryś z główniejszych konfederackich oddziałów. Zdarzyło się jednak, że właśnie dwa tygodnie przedtem Potocki, wojewódzki wołyński, wyciągnął w Krakowskie na czele sandomierskiej szlachty i od tego czasu nie było słyhać o żadnej drużynie w całej okolicy. Jacek więc, widząc zmizerowane twarze jeźdźców i wychudłe konie, kontent, że w swojej rozpacz znalazł towarzyszy, przy których choć chwil kilka zapomni o serdecznych smutkach, zabrał rozbitków do swoich Łęzkowie i tam ich podejmował z sutą gościnnością. Częścią pociągnięty przykładem, częścią idąc za szczęśliwą myślą, że w wirze walki i w ciągłej zmianie miejsca ranę serdeczną przeboli, uzbroił swoich ludzi dworskich, pościagał znajomych i drobniejszą szlachtę, zlecił zarząd majątku zaenemu krewnemu, a skoczywszy na chwil kilka do Dzikowca, by się z rodziną Góreckich pożegnać, pociągnął w Imię Boże z Tetwinem pobróbować szczęścia i zmiany losu w walce z Regałami. Ciągły ruch i niebezpieczeństwo podniosło na duchu i odmłodziło starościca; nie miał czasu myśleć nad smutkami, przemykając się po lasach, wertepach i nieznanych drogach, unikając silniejszych oddziałów króla, a napadając na równe lub słabsze, drzemając zaledwie na siodle, bo ciągle niebezpieczeństwa nie pozwalały na przespanie nocy, i w tym ciągłym ruchu i szczęku oręża zapominał o przeszłości, bo musiał myśleć o jutrze, o tych codziennych, drobnych warunkach życia, które są koniecznością bytu, a które mimowoli zacierały wszystkie rozkosze i dolegliwości w pamięci i w sercu. W utarczce koło Wodzisławia poległ chorążyc Tetwin: Jacek więc objął oddział dowództwo, a zbierając po drodze pomniejszych drużyny urósł do ośmiuset koni, które po kilkunastotygodniowej tułaczce i paru szczęśliwych spotkaniach doprowadził do komendy generała Szaniawskiego⁷⁾. Postawiony przezeń na czele lekkiej chorągwi, dzielił starościc losy generała aż do poddania Krakowa i bitwy pod Bolechówką, gdzieśmy go poznali potykającego się walecznie, acz nieszczęśliwie, ze swoim rywalem, majorem Gordonem.

Od tego czasu minęło kilka tygodni; umarł starosta warecki w więzieniu chocimskim, a chociaż pochowano ciało szlachetnego męża, nie pogrzebano idei, dla której ujął oręż w krzepkie swoje dłonie. Owszem, wojna zapowiedziana z Turcją spotęgowała siły związkowych a cały obszar kraju zaroził się nanowo od zbrojnych oddziałów. Po Wielkopolsce uwijał się ojciec naszego Jacka, starosta spławski, Ignacy Malczewski, wspólny z Gągolewskim; w Kujawach ruszył się zbrojno Ulejski, koło Jasła siedział Marcin Lubomirski, po klęsce Bierzynskiego zbierał w Wieluńskim książę Franciszek Sułkowski drużyny, a w Województwie Krakowskim, szczególnie w naszej okolicy nad Dunajcem i Rabą, po górach Podtatrza snuły się bezprzestannie

7) Generał Szaniawski, marszałek konfederacji lubelskiej, człowiek już stary i niedołężny, przyczynił się głównie do upadku konfederacji w krakowskim, sandomierskim i lubelskim.

zbrojne hufce Rafała Tarnowskiego, Joachima z Witowic Szwarzenberga, Parysa, Dzierżanowskiego a wreszcie Ignacego Potockiego, którego okrzyknęli marszałkiem Sanoczanin w miejsce Bronickiego.

W Zborczycach tymczasem było i gwaro i ludno. Oprócz Drużbica i Malczewskiego, zebrali litościwi pułkownikostwo z placu boju pod Bolechówką mnóstwo rannych, którzy jeszcze życia dawali nadzieję. Większa część dworu, obszerne oficyny naprzeciw, zamieniły się teraz na formalny szpital; chirurgowie z Wieliczki i Bochni dojeżdżali codziennie, uwijając się koło rannych przy pomocy pułkownikowej, Marysi Goreckiej i Jadwigi Dzierżkówny, które, bawiąc po-dziś-dzień w Zborczycach, niosły biedakom starania i ulgę w cierpieniach, a balsam pociechy konającym, — niejedno bowiem życie zamknęło się tutaj snem wiecznym, niejedna trumna ze skromnych zbita desek przeniosła ciało dzielnego rycerza na cichy staniątecki cmentarz, z wielkim żalem pułkownikowej i panien, które pułkownik pocieszał prastarem przysłowiem:

Contra vim mortis
Non est medicamentum in hortis.

Niéma się co dziwić, że najwięcej starań poświęcono Drużbicowi i starościcowi spławskiemu. Rany podstolica, chociaż ciężkie, leczyła przede wszystkim krew zdrowa i młodość, — tylko cięcie przez głowę trudnem było do gojenia, ale dzięki twardej podstolicy czaszce nie groziło już niebezpieczeństwem. Gorzej było z Malczewskim, bo chociaż obandażowane rany goiły się szybko, postradał wszakże lewe nozdrze, które wraz z przeciętą wargą jadziło się szpetnie. Gorączka przytem nie chciała ustąpić, dochodziła nawet często do delirium, a wtenczas chory bredził i majaczył, zrywał się z pościeli, rzucał się jak wściekły, zdzierając bandaż, to znowu ryczał z bólu, rzewnym wybuchając płaczem, jakby mu się wszystkie targały wnętrzności. I w takich razach sprosne przekleństwa nie schodziły z ust nieszczęśliwego; bluźnił Bogu i świętym, wyrzekał na ludzi, złorzeczył matce, że go porodziła, a podnosząc nad głowę zaciśnięte pięści, wołał bezprzytomnie:

— Ha, ty psie angielski, ty, lutrze obrzydły, wziąłeś ją, zabrałeś pochlebstwem, podstępem i zdradą... ale niedoczekanie tobie... przed jej ciałem moje rozniosą kruki, przed jej proch z kości mych wiatry rozwiewają, nim ją wprowadzisz na swoją kwatery!... Nigdy, słyszysz nigdy, póki kropla krwi mi w żyłach płynie... nigdy... nie dam... nie dam... nie dam.

I znowu rzucał się po łożu, drząc na całym ciele, płacząc i jęcząc, bijąc pięściami dokoła i rozdierając krwawiące się rany. Na te szalone fury nie było innego lekarstwa jeno obecność Marysi, która, istny anioł miłosierdzia, kładła drobniuchne rączki na rozpaloną głowę starościca i łagodnymi słowy koła cierpienia jakie go dręczyły, niby straszna zmora. Pod dotknięciem ciepłej, delikatnej rączki, pod wpływem dzwicznego głosu, brzmiałego mu w uszach tak słodko i rzewnie, uśmierzany się szalone fury i te wszystkie bóle, co biednemu choremu rozpięły piersi: przytomniał wtedy, oczy zapadnięte, rozpalone dzikimi ogniami, spokoili się jakoś, spozierały jaśniej, zwracając się na Marysię i patrząc na nią z wyrazem wdzięczności. Tak było czas jakiś; młodość jednak i siły żywotne brały nad chorobą górę: powoli bardzo ale powracał staroście do zdrowia. Niestety, w miarę odzyskiwania sił przychodziła samowiedza nieszczęsnego położenia, wracały wspomnienia szczęśliwszych chwil przebytych w Dzikowcu, — miłość, niezapomniana, ale przygłuszona tylko wirami ciągłych i szczerkiem oręża, odzywała się teraz z całą potęgą świeżego, nieznającego granic uczucia. Wygojony Drużbic, chociaż osłabiony bardzo, mógł wychodzić na świat: więc, korzystając z ciepłej jeszcze pory, częste po ogrodzie odbywał przechadzki, — Malczewski zaś, przykuty do łoża, pozabawiony w ten sposób towarzysza niedoli, cierpiał sam i trawił się głębokiem cierpieniem duszy. Tak mu płynęły dnie jeden za

drugim, a każdy ciężki, długi, beznadziejny, każdy smutny, niby kir żaloby, każdy zlany łzami, pocięty niecierpliwością, targaniem się serca i miotaniem duszy. Częste odwiedziny pułkownikowej, starościanki Jadwigi a najczęściej Marysi, skracaly te przykre chwile przerywając rozmową posępną zadumę; przychodził i sam pułkownik do łoża chorego i, jakby odgadując boleść starościca, rozrywał go gawędką, pocieszał rychnym powrotem do zdrowia.

— *Paulatim*, mój gorączko, *paulatim summa petuntur* (zwolna, stopniowo dochodzi się do rzeczy najwyższych) — przemówił raz znacząco — ktoś to wie, co się jeszcze stać może. Teraz wojna; gdzie drzewa rąbią tam wiory lecą... wszyscysmy śmiertelni... kto wie, co ci tam sądzono, ale desperować — nie godzi się, starościcu. *Nil desperandum*, powiadam, *nihil desperandum* (o niczem nie rozpaczaj) — i z uczuciem serdecznem ścisnął Jacka rękę.

Na te słowa pociechy, podniósł się ranny z poduszki wszystkimi siłami, twarz biała przybrała barwę niemal trupią, oczy błysnęły ogniem, przewracając się w zacerwienionych gorączką orbitach; rękę, drgającą jak w febrze, potrzęsnał przeczając, szepejąc sinemi ustami.

— *Una salus victis, nullam sperare salutem* (jedynem zbawieniem zwyciężonych: żadnego nie spodziewać się zbawienia) i jakby to było ostatnie wyznanie jego przekonania, zasłonił oczy, twarz mu się skrzywiła od wielkiego bólu i, buchnawszy łkaniem, rzucił się na poduszkę.

Wobec tej niedoli Malczewskiego podstolic mógł się zwać szczęśliwym. Po opatrzeniu przez starego Ratuła ran na placu boju Jedrus ponownie utracił przytomność. W takim stanie przywieziono do Zborczyc i ułożono w zwykłym mieszkaniu ciało jego bezwładne jak kłoda. Osłabiony wpływem krwi, przeleżał podstolic bezprzytomnie godzin kilkanaście, a kiedy się ocknął z owej bezwładności, to nie mógł skupić w żaden sposób myśli ani przypomnąć, co się z nim działo. Było to wieczorem, — mdłe światło oliwnego kaganka odznaczało niewyraźnie kontury sprzętów ginących w półcieniu, broni i sukni rzuconych w nieładzie. W kącie, obok niewielkiego stołu, siedziała mężka postać z siwą przystryżoną brodą, drzemając w staroświeckiem krześle z założonemi na brzuchu rękoma, obok na ławie stał cebrazyk z wodą i białemi chustami, na stole flaszka z czerwonym płynem. W pokoju panowała cisza przerywana pryskaniem kaganka i miarowem sapaniem drzemającego Ratuła, — z drugiej izby dochodziły jęki i jakiś niewyraźny szelest. Podstolic pracował myślą, aby pozbierać wspomnienia, ale osłabiony, napół bezprzytomny jeszcze, nie wiedział: czy ten obraz cały przykrą zmorą senną, czy też widzi go na jawie; pragnienie palące mu piersi, dotkliwy ból w głowie i na potłuczonym ciele przypominały tylko, że to rzeczywistość. Niepewny wszakże, westchnął, ruszywszy się zwolna, i równocześnie uczuł ból straszny na zranionej czaszce, — jęk i mimowolny okrzyk wydarł mu się z piersi. Na odgłos tego jęku poruszył się Ratuł, z drugiego pokoju zaszleściła sukienka, a w drzwiach sąsiednich pojawiła się niewieście postać.

— Czy się przebudził, panie podstarości? — spytała cichutko.

— Zdaje się, że nie śpi — odrzekł Ratuł przyciszonym głosem.

— Możeby zmienić mu okład? — pytał głos kobiecy dalej.

— A pewnie, żeby trzeba zmienić, — niechże starościanka idzie.

Lekkim krokiem przystąpiła Dzierżkówna do cebrazyka z wodą, znaczała w nim płótno a, wyważszy silnie, polała płynem stojącym we flaszce i przysunęła się cicho do łoża rannego, który patrzył na nią otwartymi oczyma, ale nie przemówił słowa. We wzroku podstolica malowała się ogromna boleść obok nieopisanego zdziwienia: ta biała postać o kruczych włosach i palących oczach, powiewna i kształtna, z anielskim wyrazem na ślicznej twarzyczce, zdawała mu się nadprzyrodzonym zjawiskiem. W rozgorączkowanej, chorej wyobraźni poczęły się roić fantastyczne myśli: może on już nie na tym padole

łzawym gdzie żył tak niedługo, może przeszedł w świat inny, tajemniczy, ciemny, gdzie aniołowie leją balsam pociechy na rany cierpiących, może ta powiewna i uroczą postać, to jakiś Seraf, lub Cherub o świetlanych skrzydłach, co się schyla nad nim, aby mu wynagrodzić stratę ojca, brak matki, osłodzić sieroctwo, jakiego doznawał w swem doczesnem życiu?... Gdy myśl chorego tak się błąkała w labiryncie fantastycznych rojeń, Jadwiga tymczasem leciuchno, ostrożnie zdjęła dawny okład z głowy podstolica przeczeła chwilę, by rana ochłodziła, i przyłożyła świeżo umoczone płótno, a tak jakoś umiejętnie, lekko, jakby oddawna była siostrą miłosierdzia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 1 Października, 1889 r.

Zmiana frontu kronikarza. — Kongres etnograficzny. — Otwarcie. — General Czeng-Ki-Tong i general Légitime, ex-prezydent Rzeczypospolitej Haiti. — Przemówienie Chińczyka generała Czeng-Ki-Tonga. — Ciekawe szczegóły. — Wystawa bydła i koni. — Nasze polskie konie. — Premia otrzymane przez konie ks. Romana Sanguszki. — Wspomnienia Sławuty. — Generalne wybory do Izby Francuskiej deputowanych. — Oppozycja i stronnicy rządu. — Afisze wyborcze i fizioonomia Paryża. — Wyznania wiary. — Dziwolagi polityczne. — Prognoza przyszłej Izby poselskiej. — Igrzyska i festyny. — Jubileusz urzędowy i trzydniówka w Pałacu Przemysłowym. — Panna Holmès i jej „Oda tryumfalna“. — Inauguracja pomnika „Tryumf Rzeczypospolitej“. — Rozdanie publiczne nagród wystawcom. — Nowa książka: „Uczeń“, przez P. Bourget'a.

„Chłop strzela, Pan Bóg kule nosi“. — W ostatniej chwili przyszło mi zmienić cały plan mojej kroniki. Chciałem, jak zwykle, iść utartym śladem dat i wypadków, aż tu wytracony zostałem na inną wcale drogę i zmuszony, obracając rzecz całą na wspak — zaczynać od tego, na czem był koniec, i zmienić cały układ listu.

Myślałem, że się już załatwił ze sprawą kongressów w przeszłych moich listach do was, i że ta rubryka ostatecznie będzie zamknięta: przerażowałem się, i wypadek świeży dowiódł mi jasno, że niczego nie należy przesądzać z góry. Zaproszony na otwarcie kongressu etnograficznego, wyniosłem z tego posiedzenia tak dziwne, a żywe i ciekawe wrażenie, że nie mogę się oprzeć chęci podzielenia się niem z czytelnikami *Bluszczu* i zapisania na tych kartkach jednego ze szczególnych wydarzeń tej, tak obfitej w szczególne wypadki i objawy, wystawy paryskiej.

Etnografia, jak wam wiadomo, jest to nowa i całkiem nowożytna gałąź nauki, a jej kongresy istnieją tak niedawno jeszcze, że dzisiejszy paryżki jest czwartym z kolei, a drugim odbytym w Paryżu — możnaby więc było przejść bez wyrzutu sumienia do porządku dziennego, gdyby na tem posiedzeniu otwarcia w pałacu Trocadero nie przyszło nam znaleźć się wobec osobistości niespodziewanych tu wcale, a co więcej, usłyszeć zabierających głos ludzi, których publiczne tu przemówienie i z powodu swej oryginalności, i razem ważności, jest jednym z najciekawszych objawów tej międzynarodowej wystawy.

Zaraz uderzył nas widok dwóch Chińczyków w narodowych strojach: jeden z nich siedział wśród publiczności licznie zebranej i wśród członków stowarzyszenia etnograficznego; drugi na podniesieniu, służąc za oficjalną estradę biura i tuż po prawej stronie prezydującego — obaj w błękitnych jedwabnych kaftanach z czerwonymi węzłami na czarnych myckach (znak rangi wojskowej). Pierwszym z nich był chiński admirał Czeu-Meu-ki, dawniejszy gubernator Formozy, członek Towarzystwa chińsko-japońskiego; drugi, znany wam już zapewne z imienia, generał Czeng-Ki-Tong, wojenny członek peselstwa w Berlinie i w Paryżu. Ten używa od dawna pewnego rozgłosu, jako człowiek uczony,

a razem światowicie i pisarz,—dał się poznać publiczności paryskiej swoimi artykułami w rozmaitych pismach peryodycznych, a szczególnie w „Revue des deux mondes“ i „Figaro“. Artykuły te, dotyczące się zwykle Chin, ich obyczajów i zwyczajów, zalecają się potocznością stylu i dowcipem, pełnym głębokiej i subtelnej ironii, rzadkiej nawet u tutejszych pisarzy.

Abym dopełnić tej niespodzianki kongressowej—zaledwie członkowie biura zajęli miejsca, aż oto robi się poruszenie wśród publiczności, i z pewną ceremonią kilku etnografistów wprowadzają do sali Murzyna. Był to generał Légitime, niedawno jeszcze prezydent rzeczypospolitej Haiti, wyrwany przez swego współzawodnika, dziś emigrant we Francji i w wolnych chwilach etnograf.

Słusznego wzrostu, jest to piękny i czarny murzyn — przepraszam za ten pleonazm—o rysach regularnych, bez żadnej z ujemnych znamion swej rasy — jako to: spłaszczony nosa, rozwartych nozdrzy i grubych warg nieprzyjemnej formy. Przeciwnie, rysy są regularne i szlachetne, ruchy i obejście się znamionują człowieka, cywilizowanego i wychowanego starannie. Mówi on po francuzku gładko, z pewnym akcentem śpiewności, właściwej rasie kreolskiej.

Ale, jakkolwiek osobistość generała mogła być ciekawą i zajmującą — nie o niego tu właściwie chodzi, bo całą uwagę publiczności, a moję szczególnie, zagarnął i ściągnął na siebie generał Czeng-Ki-Tong. Średniego wzrostu, jak wszyscy prawie Chińczycy, żółtej cery, rysów również regularnych, a nawet bardzo przyjemnych, bez tych ukośnych oczu, charakterystycznych u ludzi tej rasy, bez wydatnych kości policzkowych — najzupełniej, do cna wygolony, ma on coś, jakby niewieściego, w tej milej twarzy, spokojnej, uśmiechającej i ożywionej rozumem spojrzeniem. Głos ma brzmienie gardłowe, ale bardzo lekkie. Jest to widocznie następstwo wymawiania pewnych spółgłosek chińskiego języka. Mówiąc po francuzku, przy wymawianiu litery R, której, jak się wie, niema w alfabecie chińskim i którą zastępuje inna spółgłoska płynna L, nadaje jej brzmienie szczególne, które ma wdzięk niepodobny do wyrażenia i do określenia tutaj.

Zaproszony przez prezydującego, p. Opperta, sławnego assyriologa i Członka Instytutu Francuzkiego, do zebrania głosu — mówił płynnie i doskonale francuzczyzną, bez żadnego niewłaściwego akcentu, od czego nie są wolni nawet Francuzi sami, rodem np. z Marsylii i znad Garony — i w formie treściwej i jasnej przedstawił zarys, dziwnie interesujący, zwyczajów, obyczajów i instytucji swojego kraju... Mówiąc o religii, położył nacisk na to, że buddyzm nie jest bynajmniej wyznaniem panującym, a chociaż miliony ludności do niego należą, jest tylko tolerowanym, jak inne wyznania religijne w Chinach — religiją panującą — jest cześć dla umarłych przodków. Cześć umarłych, nasze starożytne *Dziady* — oto jest, co panuje nad wszystkim — do czego się ucieka w każdej ważnej okoliczności życia Chińczyk — służąc im, wzywając ich protekcji, staje się przez to pewien czci własnej po śmierci a oredownictwa dla swego potomstwa. Piękne to jest i wspaniałe — a utrzymanie grobów stanowi najświętszą powinność każdego Chińczyka.

Obok tego i ponad tem są przepisy filozoficzno-moralne Konfucjusza. Jest to prawo, jak się wyraził generał Czeng-ki-Tong, które rządzi stosunkami narodu i rządu. Przepisy te, od tylu tysięcy lat wykonywane święcie i pilnie — stanowią jakby rodzaj konstytucji i paktów-konwencji chińskiego cesarstwa. Każdy tam znajduje wskazówki, jakie są obowiązki do spełnienia mu podane — i jakie prawa, których przestrzegać winien.

Nie mogę się tu rozpisywać obszerniej, chciałem tylko wam powiedzieć i dać poznać, co za wdzięk, co za urok miał ten odczyt w ustach prelegenta Chińczyka, tak czystą mową tłumaczącego jasno i pięknie swe myśli, kiedy żaden z przytomnych, nawet arcy-uczonych tu ludzi, nie był zdolnym przeczytać dwóch liter z jego alfabetu...

Wyszedłem oczarowany wymową. Publiczność każdy prawie ustęp tej prelekcji przyjmo-

wała piorunującymi oklaskami — a po skończeniu trzykrotną salwą potwierdziła swe uwielbienie. Cóż nasza cywilizacja na to powie? — Kto tu w Europie mógłby się spodziewać podobnej rzeczy w Pekinie? — Wszystko jest względne na świecie....

Corocznie odbywa się w Paryżu konkursowa wystawa tuczonego bydła (*des animaux gras*), i rasowych koni, (*d'animaux reproducteurs des espèces chevaline et asine*).

W tym roku, z powodu powszechnej wystawy międzynarodowej, międzynarodowość rozciągnięto do koni, tak, że konkurs był otwarty dla wszelkich narodowości i pochodzenia, koni i osiołków. Ciekawy był to widok dla wszystkich, ten popis różnorodnych zwierząt, a znawcy i ludzie specjalnie oddani koniarstwu wiele się z tej wystawy nauczyli.

Zwiedziłem i ja ten nowy popis rzeczy godnych widzenia, jak zwykle zwiedza się wszystko, cokolwiek wchodzi w dziedzinę kronikarską, i za swoją skrupulatność otrzymałem nagrodę, jakiej spodziewać się nawet nie mogłem: — spotkałem się z naszymi polskimi końmi, z naszej pochodzącej Polski i ze stada i stajen, które w młodości mojej tyle i tyle razy zwiedzałem — i nietylko zwiedzałem, ale często bardzo dosiadałem tam dzielnych rumaków, towarzysząc z innymi rówieśnikami moimi sędziwemu właścicielowi owej — Sławuty, gniazda rodowego, dziś tu produkujących się koni. Ha! — przypominały się dawne szczęśliwe czasy. Przypominał mi się, ów gościnny, a dziwny z układu dom książęcy. Stary ks. Eustachy Sanguszko, ostatni pan prawdziwie polski, — z narowów, z fantazyi, z wielkich przymiotów ducha i serca — i nieodrodny syn jego ks. Roman — i śliczna córka księżniczka Helena! — Hej! hej! — i gdzież to dziś wszystko? — mogiły, starość — i jak wiatrem rozegnani — śmy po świecie! — zostało tylko wspomnienie lat młodych, szczęśliwych!

Świeć się, świeć się wieku młody,
Śnie na kwiatach, śnie mój złoty!..

I ten co śpiewał tak rzewnie — nasz stary lirnik Bohdan — spoczywa też w mogile.

Ale przerywam te rzewne wspomnienia osobiste i wracam na wystawę końską. Owoż te konie sławuckie odniosły wielki tryumf. Przepisuję listę w pierwszej kategorii. Rasa krwi czystej: 1 oddział, zrzebce krwi czystej arabskiej. Trzylatki i wyżej:

2 nagroda, medal srebrny i 1.200 franków:

Nr 1. *Rymnik*, ks. Romana Sanguszki ze Sławuty, na Wołyniu.

2 oddział, klacze krwi czystej arabskiej. Trzylatki i wyżej: 1-sza nagroda, medal złoty i 1.400 franków:

Austria. Ks. Romana Sanguszki, ze Sławuty na Wołyniu — *Vivat Sławuta!*

Na dzień 22-go Września przypadły tu, jak wiecie z dzienników, czteroletnie generalne wybory do Izby poselskiej. Z tego powodu cały ten miesiąc pochłoniął uwagę Francuzów i sprowadził ją na jeden punkt: jaki będzie wypadek tych wyborów? — to jest, czy wyjdzie z urny wyborczej zadość uczynienie dla tych, którzy się spodziewali obalenia nienawistnych osobistości i nienawistnej formy rządu? A każdy prawie miał na myśli coś innego, niż to czego pragnął sąsiad jego. Walka rzeczywiste toczyła się pomiędzy stronnictwem dzisiejszego rządu — a opozycją, podzieloną na nieskończoną liczbę cząstek i cząsteczek.

Po przeprowadzeniu sprawy bilanżerskiej przed wysokim trybunałem sprawiedliwości (*Haute Cour de justice*) i po wykluczeniu trzech głównych osobistości tego stronnictwa: najpierw samego generała, a następnie Rocheforta i Dillona, od prawa być wybranymi przewidywano, że stronnictwo rządowe utrzyma się na dawnym stanowisku i skład nowej Izby poselskiej pozostanie liczebnie w tychsamych, co i poprzednio, stanunkach — powiadam liczebnie, bo niewiadomo jeszcze w tej chwili, jak się podzielią frakcje, złożone z posłów nowych, chociaż wybranych w duchu oportunistycznym.

Tymczasem przez cały ten miesiąc Paryż wyglądał jak prawdziwy arlekin. Wszystkie mury oblepione były nieprzeliczoną liczbą różnokolorowych plakatów; bo każdy z kandydatów trzy przynajmniej rodzaje wyborczej odezwy uważa za konieczne przylepić, gdzie tylko zdoła — i to w tysiącach exemplarzy, odnawianych i odświeżanych codziennie. Jest to jeden z głównych i ciężkich wydatków, na które każdy z kandydatów przygotowanym być musi. Chociaż dowiedziona jest rzeczą, że tego nikt nie czyta i na to nie zważa — bo sprawa kandydata jest ukartowana naprzód sprawą komitetu wyborczego jego stronnictwa i opublikowana dosadnie w dziennikach odpowiedniej barwy, a nawet i we wszystkich innych; ale jest to przyjęte i silnie popierane przez specjalne agencje publikacji. Kosztuje to drogo; ale za pewną cenę nieszczęśliwy kandydat otrzymuje opublikowanie w tyłu a tyłu exemplarzach, takiego a takiego rozmiaru; kolor papieru dostaje już bezpłatnie — oprócz białego, który jest już raz nazawsze zajęty wyłącznie dla ogłoszeń rządowych.

Swoi więc i obcy ludzie, przybyli na wystawę, mieli czem napaść wzrok swój — i, jeśli ciekawi, naczytała się dosyć tej straszliwej prozy wyborczej, w której każdy z kandydatów zamyka wszystkie swe nadzieje — wypowiadając to wszystko, o czem nie myśli wcale, a obiecując wszystko, czego dokonać nie ma ani siły, ani możliwości. Któż-by uwierzył temu, byle nie w chwili wyborów, że ten lub ów chudzina, żyjący często z dnia na dzień psim węchem, potrafi uregulować finansę, w taki sposób, aby z trzech miliardów rozchodu sprowadzić je na stopę ogromnej przewyżki przychodu? — Wziętoby takiego człowieka, za lokatora od czubków. Ten drugi, chociaż człowiek zamężny i dosyć rozumny — obiecuje skutecznie separacyą kościoła i t. p. Kwestyja, na której tyłu a tyłu ludzi zjadło bez skutku swe zęby, on jeden, rozwiąże za jednym zamachem! — I ludzie jeśli mu i nie wierzą zupełnie — udają przecie, że wierzą, bo to czas wyborów — wierutne: *Prima Aprilis!* I tak bez końca brniemy w tem morzu kłamstwa i przechwałek, nie dziwiąc się niczemu, nie przecząc nikomu — a przecie ta sztuka we Francji oblicza swój wydatek, na kilka milionów!

(Dokończenie nastąpi.)

Wiadomości z Hygieny i Medycyny Popularnej.

Sztuka być zdrowym.

Prof. Mantegazza.

Znakomity badacz — antropolog prof. Mantegazza, w jednej ze swoich licznych prac, które w ostatnich czasach zjednały sobie tak znakomitą popularność na całym świecie, zastanawia się: w jaki sposób można zachować zdrowie. Postanowił w obszernej książce streszczeniu zapoznać czytelnika z poglądami włoskiego uczonego.

Na wstępie stawia Mantegazza pytanie: *zapobiegać czy leczyć?* — naturalnie, dochodzi do wniosku, że, jakkolwiek zapobieganie chorobom nie zawsze jest łatwiejsze od leczenia, należy przede wszystkim skierować swą działalność ku temu pierwszemu celowi.

Od najdawniejszych czasów istnieli lekarze i lekarstwa leczące choroby. Dzieła lekarskie, począwszy od starożytnych Indyan, Chińczyków i Japończyków, liczą się na tysiące, lecz dotąd nie mamy ani jednej książki, któraby traktowała wyczerpująco o zapobieganiu chorobom. Z dzieł tego rodzaju wyróżnia Mantegazza pracę Maggioranego.

W innej pracy, mianowicie w „Zasadach higieny“ zalecałem lekarzom, aby oddawali się specjalności zapobiegania chorobom i nazwali się

lekarzami - higienistami. Zadaniem tych higienistów byłoby prace jednej z najpożyteczniejszych gałęzi medycyny. Mianowicie byłoby oni obowiązani:

badać pojedyncze organizacje i dla każdego człowieka wskazywać oddzielny, właściwy sposób życia, skutkiem którego mogłby osiągnąć *maximum* zdrowia, długowieczności i siły;

ustanawiać dla każdego człowieka właściwe dla niego higieniczne i zapobiegawcze środki;

wyuczać każdego, w jaki sposób uchronić się może od chorób dziedzicznych, oraz od spowodowanych przez właściwości samego klimatu;

dawać wskazówki przy wyborze żony, męża i damki;

kierować fizykiem i umysłem wykształceniem dzieci—słowem: mieć więcej starania o ludzi zdrowych, niż o chorych, którzy często powracają do zdrowia bez żadnej pomocy lekarskiej.

Tego rodzaju lekarzy jeszcze dziś nie wielką mamy ilość; lecz w każdym razie wielu już przyszło do wniosku, że lepiej jest *zapobiegać*, niż *leczyć*.

Co do mnie — powiada Mantegazza — to w długoletniej mojej praktyce miałem tylko dwa wypadki, w których radzono mi się jak zapobiedz chorobie.

Pierwszy dotyczył młodzieńca, który zjawił się w moim gabinecie w godzinach przyjęcia. Jeden rzut oka przekonał mnie, że mam przed sobą człowieka zupełnie zdrowego. Zwróciłem mu więc uwagę, że obecnie jest godzina przyjęcia chorych, żeby pofatygował się później.

— Przyszedłem właśnie zasięgnąć porady pańskiej!

— Sądzę, że nie jak z lekarzem?

— Przeciwnie; właśnie jako z lekarzem.

— A jednak... Przyjrzałem mu się raz jeszcze i pomyślałem: „Albo ja już nie umiem po wyglądzie poznać chorego, albo jest zdrowszym ode mnie.“

— Pan jesteś, jeżeli się nie mylę, professor Mantegazza?

— Do usług pańskich.

— Otóż pisałeś pan, że korzystnie jest poddać się badaniu lekarza-higienisty, dopóki organizm zdrowy, aby zapobiedz chorobie.

— W samej rzeczy.

— Dlatego też zjawiam się, abys mnie pan wybadał, wystukał, wysłuchał i orzekł, czy wszystko znajduje się w stanie normalnym, czy mi nie grozi jaka choroba, a jeżeli tak jest, w jaki sposób mogę jej uniknąć. Umyslnie w tym celu przyjechałem z Sycylii i pozostanę tak długo, jak pan doktor rozkaże.

Młodzieńcu! ten pozostawał u mnie przez trzy dni i udzieliłem mu *zapobiegawczej* lekarskiej porady.

Drugi wypadek wydarzył się w czasie epidemii cholery. Pewien ojciec rodziny wezwał mnie, abym wybadał wszystkie jej osoby i przekonał się, która z nich i w jakim stopniu przedstawia usposobienie do zachorowania w obecnej chwili i w dalszej przyszłości? Uczyniłem zadość jego żądaniu i przekonałem się przytem, że nie wszystkie nasiona padają na grunt kamienisty i nieurodzajny.

Zachodzi pytanie: dla czego tak rzadko zwracają się do lekarzy po podobne porady?

W części odpowiada na to już Maggiorani:

— „Główna przyczyna podobnego braku troskliwości o swoje zdrowie—powiada—mieści się w naturze człowieka, obawiającego się chwilowego niebezpieczeństwa, a patrzącego obojętnie na to, które się znajduje w odległości. I tak, jeżeli grozi mu natychmiastowe niebezpieczeństwo, przyjmie każdą radę i zastosuje wszelkie środki, mające na celu zapobieżenie złemu. Lecz gdy mu powiedzieć, że dla uniknięcia choroby, jaką przechodzili także jego rodzice, a która i jemu grozi, powinien odmówić sobie pewnych przyjemności, prowadzić życie umiarkowane i regularnie brać lekarstwo,—można być z góry przekonanym, że albo wcale rady nie posłucha, lub, jeżeli to uczyni, to tylko na czas bardzo krótki. Większość ludzi pod tym względem jest leniwa i nie przedstawia stałości charakteru; daleko im łatwiej trzymać się starych nałogów, niż przy-

wyknąć do nowego sposobu życia. Jedyne silna wola ze strony lekarza może pod tym względem spowodować pewne dodatnie skutki. On jeden, lekarz domowy, zdoła ochronić ów płomień życia w nas gorejący i wymódl, abyśmy go ochraniali, zarówno dla siebie, jak i dla przyszłego potomstwa.“

Jest to święta prawda: człowiek zdrowy nie może myśleć o tem, że zachoruje, a jeżeli nawet zapadnie lekko na zdrowiu, to ma nadzieję zazwyczaj, że choroba będzie łagodną i wkrótce przeminie. Nadzieja ta jest z jednej strony, skutkiem obawy, jaką przedstawia każda choroba, a następnie skutkiem wkorzenia się pragnienia, żeby zawsze być zdrowym i silnym.

Uważamy Turków za fatalistów; nie wątpię jednak, że i oni nas za takich uważają. Wszak wszyscy—zarówno Muzułmanie, jak i Chryścijanie—oddajemy bałwochwalczą cześć „*à Sa Majesté „le Hasard,” roi des insoucians et des paresseux*“ 1).

Nie są to jednakże jedyne przyczyny obojętności naszej na ważną niezmierne sprawę zapobiegania chorobom. Prócz lenistwa w tym kierunku istnieje jeszcze nieświadomość, w którą jesteśmy pogrążeni: w jaki sposób mianowicie po pierwszych objawach poznać grożącą nam chorobę. Nie mogę tu przytoczyć liczb ściśle określonych, lecz sądzę, że bez przesady można oznaczyć ilość wypadków możliwego zapobieżenia na 70% ogółu wszelkich rzeczywiście już wynikłych chorób.

Dla uchronienia się od choroby nie wystarcza zachowywanie przepisów higienicznych, nie wystarcza panowanie nad namiętnościami, ani wystrzeganie się nadużyć: potrzeba jeszcze koniecznie organ usposobiony do pewnej choroby postawić w takich warunkach, aby się stał odpornym na wszelkie przyczyny, mogące oddziaływać szkodliwie na jego funkcję.

Higiena jest dla wszystkich jednakową, medycyna zaś ochraniająca—różnorodną, dla każdego odrębną, jemu tylko właściwą, albowiem zupełnie tak samo, jak każdy człowiek w odmienny sposób czuje i porusza się, podobnie okazuje usposobienie do pewnego cierpienia, a nie do innego, i od jednego łatwiej umiera, niż od innego.

Proszę mi nie robić zarzutów, że pragnę zajmować się chorobami jeszcze nieistniejącemi; że byłoby to przesadnem techniczystwem, że zaprawilibyśmy sobie tylko życie swe goręczą, a na podtrzymywanie sił właśnie siły tylko marnowali. Mówiąc o życiu, „*Courte mais bonne*,“—powiada sobie wielu.

Broń Boże! Z pewnością nie jestem mecenasem takiej higieny, która z nas robi hypochondryków; żądam rozsądnej a koniecznej higieny, odpowiadającej ekonomii siły życiowej.

Poznać samego siebie, być w stanie ocenić swe siły, chronić i wzmacniać słabe organa, pozostawiać zdrowym organom zupełną swobodę ich funkcji, przedłużać życie, oile możności, aby użyć rozkoszy i sprawiać ją innym — tego życzę sobie i moim bliźnim.

Śmierć nie jest nieszczęściem lub karą, lecz naturalną funkcją życia, ostatnim i nieuniknionym aktem, jakim się ono objawia. Natura jest wieczna, lecz życie, stanowiące część tej natury, krótkie. Umieramy dla tego właśnie, że żyjemy. Wszystkie istoty żyjące są śmiertelne: wymoczki i człowiek, najmniejszy grzybek i dąb. Każdy organizm, przychodząc na świat, otrzymuje pewien zapas hystologicznych żywiołów, które mogą tylko przetrwać pewien ograniczony czas. I tak niektóre owady żyją tylko dzień jeden, inne parę tygodni, osa rok, pies 20 lat, a są drzewa żyjące po 5.000 lat; lecz koniec końców wszystko umrzeć musi.

„Co do nas, ludzi, to śmierć fizjologiczna bez cierpienia i niejako zakończenie choroby, zdarza się tylko wyjątkowo. Wagner utrzymuje, że tylko jeden człowiek na dziesięciu umiera śmiercią fizjologiczną. Ja mniemam, że zaledwie jeden na tysiąc kończy bez cierpienia. Nikt nie umiera z u-

śmiechem na ustach, wszyscy opuszczamy ten świat w strasznych cierpieniach i w okropnym strachu. Sekret, aby umrzeć taką śmiercią, jak Fontenelle, który na śmiertelnym łóżku wyrzekł: „przestałem żyć“, zamyka się w tem: *nigdy nie chorować*.

W jaki sposób znaleźć *kwadraturę* tego *kola*, o tem właśnie mówić zamierzamy.

Aby, oile możności, nie chorować, należy przede wszystkim nauczyć się badać swój stan fizyczny. Czynieć to należy w najdrobiazgowy sposób i zdawać sobie najszczegółowszy rachunek z otrzymanego rezultatu.

Proszę stanąć przed lustrem i uważnie przyjrzeć się sobie.

Jak wyglądamy: dobrze, czy mizernie?

Jeżeli dobrze, to mamy 50 albo nawet 60% prawdopodobieństwa, że jesteśmy zdrowi. Zdanie to wypowiedział już znakomity Baglivi odnośnie do chorób chronicznych: „Jeżeli przy chorobie chronicznej kolor twarzy mamy zdrowy, to nie należy obawiać się zaburzeń w przewodzie pokarmowym“. Tosamo pozwalam sobie twierdzić, nie tylko o chronicznych, ale i o wszystkich innych chorobach.

Jak często zdarzało mi się, badając tylko puls chorego, zawołać razem z Petrarą:

Niestety!
Niewiele mu życia zostało!...

Nie jestem w możności wyrazić w liczbach moich obserwacji, jak często z samego wyglądu twarzy możemy wyrokować o stanie zdrowia lub choroby człowieka; lecz mogę zapewnić, że w ten sposób wyprowadzony wniosek bywa często pewniejszym od innych.

Trudno wyobrazić sobie, jak wiernie działają nasze zmysły, jeżeli ćwiczą się bezustannie w jednym kierunku, a zwłaszcza, gdy przyczyna potęgująca naszą uwagę jest wielkiej doniosłości. Często wyrażamy zdania tego rodzaju: *jak on dobrze wygląda, satysfakcja patrzeć na niego!*—*Nieszczęśliwy człowiek, do czego on podobny!*... i tym podobne. Dziwne w tem to, że pomimo czysto empirycznego charakteru podobnych wniosków, mają one niezmierne doniosłość i bardzo często najzupełniej odpowiadają zdaniom wypowiedzianym przez ludzi nauki.

Jeżeli spytacie profana w medycynie, na jakiej zasadzie wygłasza zdania podobnego rodzaju odnośnie do zdrowia i choroby człowieka, to niepodobna nie dziwić się trafności poglądów i bystrości obserwacyjnej. Okaze się bowiem, że dane te oparte są oniemal na połowie faktów fizjologicznych organizmu ludzkiego: *na stanie trawienia, składzie krwi i na harmonii w unerwieniu mięśni* kierujących ruchami oczu i wyrazem twarzy. Takim sposobem, z pozornie nie nieznających wiadomości, dostarczanych przez codzienne doświadczenie, wyciąga się taką ilość prawdy życiowej, że na tej podstawie gruntują się mniej lub więcej prawdziwe wnioski.

Co oznacza zdrowy kolor twarzy? Pokazuje on, że krew bogatą jest w czerwone krążki, że ilość jej w organizmie nie jest zbyt wielką, ani też zbyt małą, że krążenie w naczyniach włoskowatych odbywa się z właściwą szybkością. Przeciwnie zaś, niezdrowy kolor twarzy oznacza albo zepsutą krew, albo też nieodpowiednią jej ilość w organizmie, która może być zbyt wielką lub też zbyt małą. Dlatego bardzo wielu utrzymuje, że jeżeli krew jest czysta i właściwie krąży po ciele, to mieści się przynajmniej w tem połowa tego, żebyśmy się czuli nieźle albo nawet dobrze.

Przyglądaniem się w lustrze nie można jednakże w zupełności dojść do przeświadczenia o swym stanie fizycznym; aby to osiągnąć, potrzeba zapoznać się z genealogią patologiczną swej rodziny, zarówno bliższych jak i dalszych krewnych: dowiedzieć się: jaka choroba jest familijną—niestety bowiem, dziś niema rodziny, któraby nie była jakim cierpieniem dotkniętą; dalej, zwracać uwagę na zwierastuny, które zapowiadają zbliżanie się choroby: stan wrażliwości, zmniejszenie się lub zwiększenie częstotliwości potrzeb naturalnych, badać wydzieliny a także obserwować wpływ szkodliwych czynników na pojedyncze organa.

Organizm zdrowy, zaopatrzony w normalną wrażliwość, zarówno ogólną, jak i miejscową, nie doznaje żadnego bólu. Wydzieliny są prawidłowe, naturalne potrzeby dochodzą do skutku we właściwy sposób, a na wszelkie wpływy i przeciwności zewnętrzne ciało człowieka zdrowego przedstawia normalną odporność.

Wypada nadmienić, że ból jest uczuciem chroniącym nieraz od choroby. Wiemy dobrze, że niektóre cierpienia a nawet śmierć, nie zawsze bywają połączone z bólem. Dziecko, zjadające ze smakiem czerwoną wilczą jagodę, podróżnik zmęczony, kładący się spać na śniegu, rozbitek na okręcie, oddający się pijaństwu z rozkoszą — i setki innych ludzi giną skutkiem tego, że nie doznają bólu, który mógłby ich uchronić od choroby albo nawet od śmierci.

Z drugiej strony, często blahym, nie nie znaczącym chorobom towarzyszy wielki ból. Dostyc wspomnień o próchnieniu zębów. Kiedy indziej znowu uczuwamy ból w zupełnie innym miejscu, znacznie oddalonym od siedliska choroby, np. przy wnetrznikach pojawia się przykre swędzenie w nosie, choroby wątroby objawiają się bólem w prawym ramieniu, a żołądka bólem głowy. Wreszcie wiele chorób bardzo groźnych przebiega zupełnie bez żadnego bólu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Reszta puścizny po Słowackim.

(Dokończenie).

Odtąd śmierć, ta królowa ostatnich przerażeń, Panowała na polu z krzykiem nocnych ptaków. Trupem legło pięćdziesiąt tysięcy Krzyżaków; Dwóch książąt się opolskich ród będzie rumienił.

Akt II zaczyna się od rozmowy Laury, córki starosty, z powiernicą, Lirenką. Starosta zapowiedział już przybycie Zawiszy z dwoma służbymi: jednym turczykiem, drugim wrzekomo głupim. Przybywa wreszcie Zawisza i rozmawia ze starością jak gdyby był obłędem dotknięty. Przez nią przebłykuje prostota *Złotej Czaszki*. Anachronizmem znowu jest w tej rozmowie kopanie studni pod Kamieńcem przez jeńca tureckiego.

Majaczenie o Laurze okupuje Zawisza entuzjastycznym słowem: „Piękna jesteś, więc masz już świętości połowę 6); dostań drugiej”. Mara krzyżaka ściga rycerza. Wyprowadzając go na spoczynek do dalszych pokoi, Laura mówi do siebie: „Czem jesteśmy — nie wiemy: może rajscy, a może straszliwi piekielnicy”. Do pięknych trzech chórow poprzednich przybywa w scenie III aktu II pieśń lirnika. W rozmowie z lirnikiem Gniewosz, majordomus Starosty Sanockiego, dopuszcza się błędu historycznego (trzeciego już z rzędu w poemacie), bo każe jeszcze modlić się na psalterzu królowej Jadwidze, przed jedenastu laty już zmarłej. Dziada lirnika wpuszczają potem do Laury. Po wróżbie z ręki starością wola: „Sklamałeś...” a on jej na to:

Ach! kłamstwo to chleb powszedni kochanków.

Po wyjściu wróżbity wpada do Laury Gniewosz z krzykiem: „Zdrada! Zdrada!”. Dziad jest przebrany księciem Manfredem, który przyniósł koronę dla Witolda (także trochę wcześniej) i miał przeciągnąć Zawiszę na stronę cesarza. Czarny rycerz znał go niegdyś na cesarskim dworze jeszcze jako młodego chłopię: dziwi się jego animuszowi do zdrady i odrzuca niegodziwe namowy.

6) „a” w tym wierszu można było z czystym sumieniem literackim opuścić.

Posel cesarski wykreca się z początku, zmyślając miłość do Laury. Okazuje się, że jeden ze sług Zawiszy, Manduła, jest kobietą przebraną. Wywiązuje się silne starcie dwóch dusz kochających, — bo serce starością zaczęło się już ku Zawiszy zwracać, a wrzekomy Manduła miłość swoją maluje słowy:

Przed śmiercią swoją na jedną godzinę
Pozna kto jestem. Gdy zgraja pancerna
Nie zechce ginać, a ja przy nim zginę,
Pozna kto jestem, bo pozna, że wierna;
Dam się, jak sztandar, potargać na ćwierci
Bo nie tak, jak wy, kocham — lecz do śmierci 7)

Zawisza ustąpił miejsca młodszemu i w scenie II księżę Manfred szepece już Laurze słodkie słówka. Rozmowa nieporządna — nastrojem myśli i formą wiersza przypomina *Księcia niezłomnego* lub *Sen srebrny Salomei*. Chór krnąbrnie wylamujący się i natchnieniu i rozumowi z karbów posłuszeństwa zakończy poemat 8).

Najwyższą wartość w całym zbiorze ma fragment dramatyczny idący zaraz po *Zawiszy*. Gdyby go był poeta chciał wydać za życia, piśmiennictwo ojcyste — i może nie ono jedno — zawdzięczyłoby mu arcydzieło. Tonem panującym tej poezji jest moc dusz niezwykła, objawiająca się w słowach walących jak topory. Jeden z działaczy dramatu, o krwi gorącej i żądach niepokornych, wzruszony upomnieniem starca a przypomnieniem ojca, w takim się błysku objawia:

Ojcem ty 9) moim zachwiał mego ducha...
Leciałem w miasta wasze pełny gniewu,
Smaragdowemu nawet gotów drzewu
Śmierć zadać szablą; bo krwi zawierucha
W ciele powstała, w skronie moje dzwoni
I szablą w rękę, jak kłosem, kołysze.
W głowie jęk słyszę, i dzwon, i rzeź słyszę,
I głosy ludzi... i 10).

Duch mój rozgrzany przestał być człowiekiem,
Ale się nagle stał burzą i bojem.

Wspaniała mają w tym urywku dramatycznym rolę chóry, nawzór wprowadzonych do *Lilli Wenedy*, krótkie, ale ściślej jeszcze z życiem dramatu związane, bo stoją ciągle na scenie i na wszystko, co się dzieje, mają wyteżone oko i ucho. Jest w tej prawdziwie pańskich ostatkach, któremi się pożywił naraz kilku dzisiejszych poetów, Chan tak przerażający, że się aż w śnie czytelnikowi przypomnieć może.

Tron mój to ognisty smok:
Stopnie ma podobno trunom,
Nakrycie — ognistym piorunom, —
Zamknięty jak los... Ale kiedy się otworzy,
I na nim siedę — straszny, zielony gniew boży!...

Czerep mu od wilgoci par czerwonych gnije.
O uszy objają mu się psalmy pokutne:

A byłem już jak polny kwiat z ziemi wyrwany...
Ale Bóg ojców zemną — Pan mój, Pan nad Pany,
Przeciwko wrogom moim wstanie naksztalt fali,
Podręczgocze oręż i tarcze popali!

— „Kawedyj — zapytuje okrutnik swego przybocznego — co tam szepeczą te szatany?” — „Modlitwy mówią do swojego Boga”. Ha, modlitwy

7) Wydawca znowu tu wiersze Słowackiemu po psuł. Pięć urywków osobnych pozostawionych w bezładzie, wchodzi w skład dwóch następujących wierszy:

— Cóż ci dam? — Tę pieśń — Weź życie
— Poganko! — Słuchaj! Jak ty, jestem boża.

8) W wierszu szesnastym tego chóru nie „łuk”, ale „ług” (łaka).

9) P. Rychter robi z tego „tu”.

10) W żaden sposób nie podobna przyjąć „ratunku koni” wprowadzonego w tem miejscu przez Wydawcę.

do jakiegoś tam boga, nie do niego, potężnego Chana!

Ja jestem żywot dla tych psów i droga, —
Ja jeden z świata całego wybrany,
Na duchu królem ludów naznaczony,
W ciało odziany psie, takie jak oni!
Jam jest polano w Pana Boga dłoni —
Gniew jego czarny, duch jego czerwony.
Gdybym nie bożym był, czyżby stworzyciel
Zniósł mnie, co żywy świat cały wyrzynam,
Stworzenie kończę a Cmentarz zacznę?...

Ja rodzić ludzi cały świat oduczę
I [ludy] 11) Panu Bogu niepotrzebne
Skoszę, jak trawę, szablą mych rycerzy, —
Rolę zasieję solą i piołunem.

Lecz to jeszcze nie wszystko:

Są we mnie jeszcze nie widzialne siły,
Niewymysłone rzeczy; jest zamknięta
I mnie nieznana dotychczas samemu
A straszna, ciemna, gdzieś w mózgu komora,
W której Bóg tworzy nowego upiora...

Więc kto mógł umrzeć dzisiaj, a uciekał
Przed moją dzidą, przed moją szablą,
Ten nie pokazał nad sobą litości,
Ani rozumu; bo jest w Boga chęci,
Że świat ten trzodom i stadom poświęci
A wielkim ogniom da gryźć ludzkie kości
I grody — a ród ludzki, podłe duchy,
Ze świata moją szablą wygoni.

Jest to *Król-Duch* z drugiej pieśni, ale wzbogacony pobudkami psychologicznymi.

Cały ten fragment nawet się sceny nie lęka, ale potrzebuje i wykonawców i widzów — nietuzinkowych.

Scena w *Malborgu* należąca do *Waltera Stadiana*, którego już wydał był w urywkach Małeckie, prozą siedm powiastek, *kazanie, sny i widzenia* samego poety, z jego dziennika wyjęte a przypadające na lata 1844—8, może i dawniejsze; *Testament*, później odwołany, kilka zaznaczeń a w *Dodatku* trzy przypowiadki wierszem i dzieśnię liryków — wypełniają ostatnie karty zbioru. Nie bez zasady domyślać się można, że pierwszy w rzędzie snów opowiedzianych przez poetę prozą był o Ludwice Sniadeckiej. Ostatni raz w poezji zwrócił się był do niej w *Podróży na Wschód* (I, 38 sq.); teraz do uczucia dni młodych myśl wpatrzona w śmierć powraca. W widzeniu następnym objawia się poecie matka. Podobne widzenie znajduje się już w jednym z listów.

Stanisław Krzemiński.

Z bieżącej chwili.

— **Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności** rozporządzać ma w bieżącym roku szkolnym sześcioma zasilkami na rzecz uczącej się młodzieży: Cztery zasilki z zapisu ś. p. Tekli Rapackiej po 120 rs., dla niezamożnych rodziców, których dzieci uczęszczają do szkół; z zapisu ś. p. Józefa Katarzyńskiego stypendium: 150 rs. rocznie dla studenta uniwersytetu warszawskiego na wydziale medycznym; z zapisu ś. p. Joanny Neubaurowej 100 rs. rocznie dla ucznia gimnazjum, lub podobnego zakładu naukowego z rodziny testatorki, lub jej męża. W braku tych dla najbiedniejszego ucznia.

11) Tylko ten wyraz może być w tem miejscu.

— **Roboty około kościoła na Pradze** zostały na czas zimowy zawieszono przy zupełnym niemal wyczerpaniu funduszy. Pobożna ofiarność ludzi dobrej woli powinna złożyć przez zimę grosz, potrzebny na dokończenie świątyni.

— **Gmach Teatru Warszawskiego** rozszerzy się znacznie przez wzniesiony na jego tyłach budynek, wysokości ośmiu zwykłych pięter, a mieszczący w sobie, obok dwóch podręcznych składów dekoracji, dwie sale baletu z garderobami przy nich i malarnią. Każda z tych sal jest 27 łokci długa, a jedna z nich stanowi jakoby przedłużenie sceny Teatru Wielkiego, od której oddziela ją jedynie ściana ruchoma. W razie gdyby usunięta została, scena, mająca obecnie 58 łokci długości, miała by ich 85 i byłaby wtedy największą sceną w Europie, co jest rzeczą bardzo ważną przy wystawieniu wielkich sztuk, naprzykład Szekspirowskich. Przy nowem urządzeniu obu teatrów: Teatru Wielkiego i Teatru Rozmaitości, mającym się rozpocząć z wiosną przyszłego roku, gmach cały ogrzewać się będzie parą za pomocą kaloryferów; gaz, usunięty zupełnie, zastąpi światło elektryczne. Wejść do krzesła będzie nie dwa, jak obecnie, ale ośm, tak urządzonych, aby nie było przeciągów. W razie popłochu sala szybko opróżniona być może, bez niebezpiecznego ścisku.

— **Obraz Rozena:** „Przegląd wojska na Saskim Placu w 1824 r.“ stanowiąc będzie w reprodukcji, która się dokonywa w Paryżu, doroczne premium dla członków Warszawskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych.

— **Obrazy malarzy polskich**, wystawione na Paryskiej Wystawie Powszechnej, mają być w większej swej części nadesłane do Warszawy i umieszczone w salonie Towarzystwa Sztuk Pięknych.

— **Krakowskie Towarzystwo Sztuk Pięknych** wprowadziło do stałej wystawy swojej pożyteczną nowość: katalog dzieł wystawionych z objaśnieniem treści.

— **Otwarcie roku szkolnego w Krakowskiej szkole Sztuk Pięknych** odbyło się bardzo uroczyście. Matejko zagał je przemową do uczniów wykazując wysoki cel i obowiązki sztuki, która nakazuje adeptom swoim ukochanie wysokich ideałów, nie tylko w zakresie ich pracy artystycznej, ale w życiu samem — jego poziomie i kierunkach. Uskarżał się, że wielu młodych artystów, wracając z zagranicy, gdzie szukali wydoskonalenia się, przywozi z tamtąd niedobre dla artysty pragnienia: żądze szybkiego zubożenia się przez dzieła swoje, co poniża człowieka i artystę — odejmuje go wielkiej sztuce, bo odbiera te poloty myśli i uczuć, jakich żąda ona od tych, co się jej służbą przejmują, jej kapłanami się wyznają. Tacy niech się zadowolnią sztuką stosowaną do przemysłu.

— **Restauracja starożytnej świątyni krakowskiej, Kościoła Panny Maryi** wymaga znacznych nakładów. Matejko oprócz ogromnej pracy, którą opłacić-by trzeba było wielu tysiącami, złożył na pierwsze potrzeby 300 florenów. Ofiarodawca ze stron dalekich nadesłał 500 fl. Jakaś uboga kobieta z ludu krakowskiego dała 18 fl., dwie inne 15 fl. i to już wszystko, co zebrano przez ciąg 10 miesięcy.

— **Karol Estreicher** obdarzony niedawno medalem za bibliografią polską z XVI, XVII, XVIII i XIX wieku pisze w przedmowie do VIII tomu tego dzieła swego: „Do niedawna Niemcy wyobrażali sobie, że nasza literatura to

Słowacki, Mickiewicz i Krąszewski. Po wydaniu przezemnie „Bibliografii“ Petzholdt wyrzekł otwarcie, że nawet nie przeczuwał ogromu polskiego materiału literackiego. W wieku XV mamy druków przeszło 200, w XVI przeszło 7.250, w XVII przeszło 21.000, w XVIII przeszło 44.000. Zatem ogarniam do końca XVIII 73.000 druków mniej wiadomych, ale w połowie XVIII wieku naliczył ich bibliograf Załuski do 100.000, widać zatem, że mój rachunek jeszcze niedokładny. Na XIX stulecie przypada więcej niż 70.000. Ztąd tytuł: „Bibliografia Polska 140.000 druków“. Nie wątpię, że osiągną z czasem liczby 150.000 druków“. Karol Estreicher urodzony w Krakowie w 1827 r., wykształcony na tamtejszym uniwersytecie, był pomocnikiem bibliotekarza „Warszaw. Szkoły Głównej“; dzieła swego dokona pod orędownictwem Krakow. Akademii Umiejętności.

— **Poezye Bohdana Zalewskiego**, nigdzie dotąd nie drukowane, wyjdą w Krakowie nakładem księgarni Żupańskiego i Heimana w dwóch tomach; komitet redakcyjny składają: prof. Stanisław Tarnowski, prof. Straszewski i hr. Konstanty Przezdziecki.

— **W Poznaniu** zostało ogłoszone drukiem studium o Lelewelu, napisane przez Henryka Merzbacha z Bruxelli.

— **Poezya czeska** zubożyła się dwoma nabytkami. Wyszedł tom nowego zbioru poezji Jaroslawa Vrchlickiego pod tytułem: „Na domaci pute“ (Na domowym szlaku) i Siatopluga Czecha: „Nowe pisme“ (Nowe pieśni) Vrchlicki jest to poeta szlachetnego natchnienia i wysokiego talentu, zaliczyć go trzeba do pierwszorzędných pisarzy wśród Słowiańszczyzny.

— **W Szwajcaryi** wyszła uchwała, niedozwalająca ogłaszania drukiem, a zwłaszcza umieszczania w dziennikach, szczegółowych opisów zbrodni i samobójstw, a jest to rozumna czujność, niedozwalająca z jednej strony brudzić wyobraźni czytelników, z drugiej rozbudzać dzikich instynktów pewnych istot zepsutych i przez to zepsucie zgorączkowanych. Prawo to nie odnosi się przecież do dzieł i czasopism naukowych z dziedziny prawa kryminalnego i nauk lekarskich.

— **Literatura polska** Adama Kulickowskiego wychodzi we Lwowie w piątym już wydaniu, znacznie powiększonym i poprawionem. Jestto powodzenie wyjątkowe w wydawniczych stosunkach Galicji.

— **W sejmie czeskim**, na pierwszym jego zebraniu rozdano posłom sprawozdanie o stanie oświaty publicznej w ukończonym roku naukowym. Okręgów naukowych jest w Czechach 105, a wśród nich 4.309 towarzystw szkolnych, między którymi czeskich 2.437, niemieckich 1.872. Szkół było w roku ubiegłym 4.861, a z tego na okręgi czeskie przypada 2.573, na niemieckie 2.137, na miejskie mieszane 51. Szkół miejskich było 151, gminnych 4.710; ze szkół miejskich wypada na okręgi czeskie 79, na niemieckie 64, 8 na mieszane. Do szkół ludowych uczęszczało 899.288 dzieci; z tych mówiło po czesku 580.683, po niemiecku zaś 318.482, różnymi językami innymi 43. Na rok 1890 wypada zatem jedna szkoła czeska na 252 uczni, niemiecka na 147, jedna klasa czeska na 73, niemiecka na 57. Szkoła przecież nie zawsze niemieczy, choć niejednokrotnie odbiera Czechom ich język; przykładem tego jest niejaki Karol Rybka, Czech z pochodzenia, który nie mówi poczesku a jednak ofiarował na rzecz szkolnej macierzy czeskiej

2.000 florenów. W bieżącym roku otwarto w Pradze wyższą szkołę przemysłową czeską.

— **W Tatrach** pod Kasprowem, w lesie odległym o pół mili drogi od Kuźnic Zakopańskich, na gruncie należącym do p. Adama Uznańskiego, odkryto jaskinię znacznej rozległości. Wejście do niej było znanem oddawna miejscowemu ludowi. Jest to kurrytarz — szyja, jak się wyrażają górale, długa na 40 metrów a miejscami tak niska, że idąc pochylać się trzeba. Wiedzie ona do małej jaskini, w której ukazują się dwa otwory: jeden w górze, drugi na dole. Ten dolny jest przejściem do innej jaskini. Gdy usunięto kamienie, zawałające przejście, ukazał się głęboki otwór w części zalany wodą, jak o tem znać dawał szum głuchy. Spuszczono tam przywiązane do liny górala ze światłem, które gasło przecież od silnego przeciągu powietrza. Po następnych, odpowiednio urządzonych badaniach, skonstatowano, że jaskinia ta, mająca 30 metrów długości, a 10 szerokości, położona o 20 metrów niżej od pierwszej jaskini, prowadzi do drugiej, położonej o 15 metrów wyżej. Ta jest 30 metrów długa a 20 szeroka.

— **W Ameryce** istnieje ogromny spadek, wynoszący 40 milionów dolarów, po Wacjachu Kuczewskim zmarłym tamże jeszcze w 1851 roku. Władze pruskie ze względu na kraje polskie wchodzące w skład państwa, rzecz podjęły; istnienie spadku, oraz pochodzenie spadkodawcy stwierdziły, co znacznie ułatwiło dochodzenie praw osób, chcących wystąpić jako sukcesorowie. Są tu interessowane jako spokrewnione z nieboszczykiem, rodziun: Poletyłów, Duninów, Kostków, Cieszkowskich, Szydłowskich i rozpoczęło się już dochodzenie ich praw na drodze odpowiedniej. Jeden z adwokatów lwowskich zajął się tem.

— **W roku bieżącym** przypada pięćdziesięcioletnia rocznica wynalazku fotografii.

Sprostowanie.

Pierwszą nagrodę za obraz: „Przejażdżka w Parku“ (Hyde Park) na wystawie sztuk w Anglii, otrzymał P. Jan Chełmiński a nie P. Chełmoński jak to mylnie w N-rze 41 „Bluszczu“ podaliśmy.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 1-szy powieści pod tytułem **Nauczycielka** przez Emmę Marschall.

TREŚĆ: Słoneczne strony życia. — Adjutant króla jegomości, opowiadanie z drugiej połowy zeszłego stulecia, napisał Mieczysław Krzywosąd-Kepieński. — Nowiny Paryżkie. — Wiadomości z higieny i medycyny popularnej. Sztuka być zdrowym. Prof. Mantegazza. — Reszta puścizny po Słowackim, przez Stanisława Krzemińskiego. — Z bieżącej chwili. — Dodatek obejmuje: Arkusz 1-szy powieści pod tytułem: **Nauczycielka**, przez Emmę Marschall. — Przegląd mód. — 25 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycja stołu.**

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 18 Октября 1889 года.